



Ida Sol

GŁÓD

Głód

Ida Sol

Głód



Kraków 2024

© Copyright by Ida Sol and Księgarnia Akademicka, 2024

Opracowanie redakcyjne i projekt okładki
Agnieszka Ziemińska

ISBN 978-83-8368-152-8 (druk)

ISBN 978-83-8368-153-5 (PDF)

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA

ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków

tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43

e-mail: publishing@akademicka.pl

<https://akademicka.pl>

Skawina, ROD Podgórk, 3 listopada, czwartek, godz. 5.49

Komisarz Kornel Rostocki brodził po kostki w brei mokrych liści, nie-skoszonej trawy i namokłej ziemi. Mimo że o godzinie 6 rano już szarzało, to wszędobylska mgła znad rzeki wciskała się w każdy wolny skrawek przestrzeni, więc nie było ciemno, ale szaro, co utrudniało pracę nie tylko technikom policyjnym, lecz również wszystkim funkcjonariuszom, łącznie z Rostockim, który raz polubiwszy miejską architekturę, ze wstrętem odnosił się do przyrody. Cywilizacja kontra natura. Komisarz zdecydowanie stał po stronie cywilizacji.

– Ja pierdolę – przeklął, chociaż starał się tego unikać, po czym obrócił się w stronę starszego, elegancko ubranego mężczyzny. – Co mamy?

– Niewiele – odparł Krzysztof Ruski. – Ofiara to kobieta około 30 lat. Przed śmiercią ją skrupowano. Najprawdopodobniej była nieprzytomna albo zmarła, zanim została okaleczona, czyli – zawahał się – około doby temu.

– Czym zadano rany?

– To jest chyba najdziwniejsze. Rany wyglądają tak, jakby została pogryziona. Przedramiona są niemalże odgryzione.

– Dzikie zwierzę?

Patolog nagle się zdenerwował. Wcześniejsze zmęczenie uleciało, a słowa, przedtem leniwie cedzone, teraz zaczęły padać z szybkością karabinu. Maską, której Ruski używał do pracy przy zwłokach, zniekształcała wypowiedź.

– Kolek, kulwa, skond mam wiedzieć? Cego chcesz? Sósła lano jest. Jestem tutaj od tseciej. Nawet tlamwaje, kulwa, nie jeżdżom. – Delikatna wada wymowy lekarza przybrała na sile. – Zadzwońm po sekcji, a telaz nie mencz dupy. – Ruski odwrócił się plecami i odszedł szybkim krokiem, nawet się nie pożegnawszy. Po kilku sekundach zniknął we mgle.

Ogródek działkowy był ogrodzony metalową siatką. W furtce widniała namiastka zamka, niepotrzebna, bo nawet oparcie się o słupek powodowało przechylenie bramki. Mniej więcej pośrodku stała drewniana altana, zbita naprędce z dykty. Ogródek był zaniedbany. Kilka krzewów owocowych, parę drzewek: chyba wiśnia, a może czereśnia, jakaś jabłoń. Prawdopodobnie jednak wiśnia. Za domkiem nielegalnie postawiony wychodek – drewniana buda z serduszkim w drzwiach. Kornel ponownie przeklął, gdy wdepnął w gumę do żucia tuż przed wejściem na tyły działki. Wraz z kleistą mazią do podeszwy buta przyczepił mu się niedopalek papierosa. Komisarz ze wstrętem wytarł buty w resztki trawy. Rozejrzał się wokół. – Same pety – powiedział na głos i wzdrygnął się z oburzeniem.

– A co się dziwisz? – uśmiechnięty szef techników kryminalnych Tymoteusz Kruk mimowolnie przywołał cytata z jednego z ulubionych filmów Rostockiego. Komisarz zawsze z rozrzewnieniem wspominał *Jasminum* Kolskiego. Zwłaszcza muzykę Koniecznego. – Musiały się tu bawić kobitki. Kto inny pali takie cieniasy?

Kornel, chcąc nie chcąc, pokiwał głową. – Myślałem, że te slimy już wycofano. – Nie znał żadnego mężczyzny palącego irisy czy vogue.

– Moja żona trupem się położy, a nie odda swoich irysków! – wykrzyknął Kruk. – Podejrzewam, że zrobiła duże zapasy.

Komisarz uśmiechnął się na wspomnienie uroczej żony policjanta, palącej w ukryciu – w przekonaniu, że nikt o tym nie wie – mentolowe irisy, po czym powoli zbliżył się do sławojki, starając się nie wdychać smrodu unoszącego się z drewnianego kibla. Cień jego wysokiej sylwetki położył się na tym, co wydobyło z wychodka. Pochylił się nad

rozłożoną białą płachtą i zamart w bezruchu. Oczy próbowały wychwytać kontury uwalanego ekskrementami obiektu, ale mózg jeszcze nie dopuszczał do świadomości tego, co Rostocki zobaczył. Przed nim leżało ciało kobiety z poszarpanymi kończynami.

**Kraków, Biblioteka Jagiellońska, 3 listopada, czwartek,
godz. 16.00**

Teresa rozejrzała się z niepokojem po czytelni rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej. Nic nietypowego jednak nie zwróciło jej uwagi. Trzy rzędy dużych, drewnianych stołów, pamiętających czasy PRL-u. Po lewej stronie okna, wychodzące na dziedziniec Jagiellonki. Po prawej przeszklone regały z piętrzącymi się zakurzonymi książkami. Tylko elektryczna bramka, podobna do tych z kontroli na lotnisku, przypominała, że i tutaj jest XXI wiek. Słynne kradzieże w 1999 roku wymusiły na dyrekcji wprowadzenie nowych zabezpieczeń. Teresa wzruszyła ramionami i wróciła wzrokiem do rozłożonej na stole tekturowej teczki, z której wysypywał się stos rękopisów.

Cóż z tego – pomyślała – skoro za kradzieże odpowiedzialni byli pracownicy Jagiellonki? Co to da poza kolejnymi utrudnieniami dla czytelników? 13 bezcennych starodruków. *Cosmographia* Ptolemeusza, wydana pomiędzy 1475 a 1490. *Astronomia nova* Keplera z 1620 roku. Pewnie w końcu trafią na niemiecki rynek. Ile mogą być warte? W momencie kradzieży Ptolemeusz nie mniej niż 100 tysięcy marek. Kepler? 13 tysięcy? 15? Kto zresztą liczy teraz w markach. Ile to na nasze? Wtedy pewnie około 300 tysięcy złotych, a teraz? Grube miliony...

Pokręciła głową i dodała w myślach: – Pensja asystenta może nawet 4 tysiące na rękę, adiunkta z habilitacją 6 tysięcy, profesora uczelni – ech... szkoda gadać. – Skierowała wzrok na panią Halinkę, zaciekle wertującą biblioteczne katalogi i zerkającą co chwilę z uwagą na czytelników. – No tak, mogliby coś wynieść... ołówek – złośliwie zauważyła Teresa, podnosząc oczy wyżej, na zwisający tuż nad głową pani Halinki zegar. – Cholera, 16.40. Za chwilę zamkną czytelnię. – Bezradnie

popatrzyła na listy, z którymi ledwo zdołała się zapoznać. Coś tutaj nie pasowało, było nie na miejscu. Raz jeszcze spojrzała na połówkę kartki zapisane zamaszystym, okrągłym pismem o dużych literach. Nawet płaskie literki były okrągłe. – *l'non so ben ridir com'io v'entra*¹. Kto tak pisze „i”? A „r”? Czy ktoś mi się przygląda? – W czytelni oprócz niej zostały już tylko dwie osoby. Starszy gentleman. Teresa spojrzała na niego, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Wysoki, około 65 lat, szpakowaty, w nienagannie skrojonym garniturze. Nie czytał rękopisów, robił zdjęcia. Pewnie obcokrajowiec. Na pewno. Creed Aventus. Polski akademik nie mógłby sobie pozwolić na wodę toaletową za niemalże 2 tysiące złotych. – Muszę się uwolnić od przeliczania wszystkiego na pieniądze. Nie będę od tego bogatsza. – I młody, znudzony student. – No tak, ten to daleko zajdzie. MacBook, iPhone. Ale po co on tu przyszedł? I tak cały czas siedzi w Internecie. A te jego materiały są przecież dostępne on-line od paru lat. – Już wchodząc do czytelni, Teresa z ciekawości zerknęła młodzieńcowi przez ramię. – Nikt mu nie powiedział? No tak... na Facebooku pewnie o tym nie piszą.

Rozważania przerwał jej dzwonek zapowiadający zamknięcie czytelni. – Jestem przewrażliwiona. Nikt na mnie nie patrzy. No, może poza kamerami zamontowanymi nad każdym stolikiem (kolejne następstwo wynoszenia z Jagiellonki cennych druków). Zresztą, skoro dało się ukraść *O obrotach sfer niebieskich* z PAN-u, to nie oczekujemy cudów. – Teresa, zbierając z biurka dokumenty, upuściła na podłogę czarno-białą fotografię. Szybko ją podniosła. Kątem oka zauważyła, że przedstawia ona grupę osób przyglądających się leżącemu na ulicy mężczyźnie. – Pewnie nic ważnego, przyjrę się jej następnym razem. – Podeszła z teczką do pani Halinki.

– Pani profesor, znowu się pani nie wpisała do karty. A jak ktoś będzie chciał wiedzieć, kto przed nim korzystał z tych materiałów? – Szare

¹ *Nie umiem dzisiaj dobrze opowiedzieć, / Jak tam zaszedłem* (Dante, *Boska Komedia, Piekło, Pieśń I*, w. 10–11, tłum. E. Porębowicz).

oczy znad okularów w grubych, czarnych oprawkach spoglądały z wyrzutem. – Albo jak coś pani zniszczy? Skąd będziemy wiedzieć, że to pani... zniszczyła... – ostatnie słowo bibliotekarka wyszczała z przyjemnością, po czym oskarżycielsko wskazała palcem wewnętrzną stronę okładki teczek, z której korzystała Teresa. Kartonik raził bielą i pustym miejscem w linijce z rubryczkami: imię i nazwisko, afiliacja, cel, data.

Pośpiesznie uzupełniając dane, Teresa zapewniła bibliotekarkę, że to już na pewno się nie powtórzy, w myślach zaś obracała słowa: „zniszczyła, zniszczyła...”. Zabrała laptop i ponownie rozejrzawszy się po czytelní, prędko wyszła. Gdy zatrzęsnięty się za nią ciężkie drewniane drzwi, poczuła, jak opada z niej napięcie. Nie czekając na windę, zbiegła z drugiego piętra, ze skrytki bibliotecznej wyjęła plecak i płaszcz, którego nigdy nie oddawała do szatni, a zawsze wciskała na siłę do za małej skrytki. W drodze do portierni zdążyła się ubrać i owinąć ręcznie robioną czarną chustą. Położyła kluczyki na biurku i mruknąwszy niezobowiązujące: „dziękuję, do widzenia”, zniknęła za metalowymi drzwiami, odprowadzana wzrokiem ochroniarza. Piotr, pracujący w Jagiellonce co najmniej od czasu, kiedy Teresa jako studentka polonistyki zaczęła korzystać ze zbiorów biblioteki, czyli niemalże od 20 lat, nigdy nie ukrywał swojego nią zainteresowania. – Ale nigdy też nawet nie spróbował nawiązać bliższego kontaktu – pomyślała z niechęcią – nic dziwnego, że...

Kobieta uświadomiła sobie nagle, że ktoś dotyka jej lewego barku. Poczowała mrowienie na szyi i dziwny bezwład. Nie mogła się poruszyć. Była jak sparaliżowana. W ułamku sekundy poczuła narastający ucisk w dole brzucha i w klatce piersiowej.

Skawina, ROD Podgórkí, 3 listopada, czwartek, godz. 17.10

– Już skończyliśmy! Nic tu po nas! – krzyknął Tymoteusz Kruk. Wsiadł do nieoznakowanego czarnego opla i odjechał Bogucianką w stronę Browarnianej, tuż przy opactwie, w którego pobliżu odnaleziono rzeczy zamordowanej kobiety. Czarna furgonetka ze zwłokami NN odjechała już około południa. Po raz kolejny obejrzał przekrzywioną furtkę, plecioną

siatkę ogrodzeniową, ścieżkę z betonowych płyt chodnikowych. Zbliżył się do zaniedbanej altanki zbudowanej z przeróżnych materiałów, głównie płyt pilśniowych o różnych rozmiarach i kolorach. Budynek niechłujnie pokryto odchodzącą tu i ówdzie papą bitumiczną. Komisarz zbliżył się do drzwi, starając się wyobrazić sobie, co mogło tutaj zająć. Technicy nie znaleźli żadnych śladów ciągnięcia ofiary, prób stawiania oporu. – Czyżby przyszła tutaj z własnej woli? – zastanawiał się. – Nie, to raczej niemożliwe – odpowiedział sam sobie. – Musiała być przetrzymywana, zatem o ile mogła spotkać się z oprawcą dobrowolnie, o tyle już po kilku dniach wiedziała, że nie może oczekiwać z jego strony niczego dobrego. Zatem – kontynuował w myślach komisarz – albo była tak zastraszona, że szła pokornie, nie zwracając niczyjej uwagi, albo była otumaniona jakimiś środkami na tyle, że było jej wszystko jedno. – Rostocki przypomniał sobie drogę od ulicy aż do ogródka. – Zaparkować to tutaj chyba można wszędzie. – Rozejrzał się po okolicy. W pobliżu ogródków działkowych gdzieś porzucane były domy jednorodzinne. – Można podjechać pod samą bramę i o tej porze pozostać niezauważonym. – Rodzinne Ogródki Działkowe Podgórki były usytuowane na terenie podmokłym, podtopienia były tu na porządku dziennym. – Czy sprawca podjąłby takie ryzyko? Ale dlaczego dziewczyna znalazła się nad Wisłą? – Teren, zwłaszcza w rejonie klasztoru, był często patrolowany przez policję wodną. Rostocki zanotował w głowie, że trzeba będzie zwrócić się do kolegów z Tynieckiej z pytaniem, czy nie zauważyli czegoś podejrzanego. – Dlaczego akurat ta posesja? – drążył komisarz. – Czy sprawca ją znał? Bywał tutaj? Czy teren został przygotowany wcześniej? Jak najszybciej należy odnaleźć właściciela terenu. – Wyjął telefon i wybrał numer do aspirant Katarzyny Niewiadomskiej z poleceniem skontaktowania się z administracją ogródków i Wodną z Tynieckiej. Gdy zakończył rozmowę, wszedł do domku i raz jeszcze przyjrzał się każdemu sprzętowi we wnętrzu. – Nic szczególnego – skonstatował. – Stara kanapa, trzy plastikowe krzesła, drewniany stół. Nad wersalką półka, w rogu szafa. Technicy wszystko już przejrzeni – zniechęcony wyszedł na

Komisarz Kornel Rostocki zostaje wezwany do zbezczeszczonych zwłok odnalezionych w ogródkach działkowych, w okolicach klasztoru tyńieckich oo. Benedyktynów. W tym samym czasie profesor Teresa Levy odkrywa w rękopisach Biblioteki Jagiellońskiej listy sprzed ponad wieku, które są rozpaczliwym wołaniem o pomoc młodej kobiety. Kolejne dni przynoszą nowe ofiary mordercy, którego ze względu na sposób działania okrzyknięto Zielarzem, i nowe wątki z historii popadającej w obłęd korespondentki. Wspólną nić łączącą oba tematy odnajduje Levy, badająca losy polskiej szlachty na Kresach Wschodnich, która do teorii o „copycat crime” przekonuje komisarza. Pewnego dnia łączą się trzy główne wątki intrygi – miejsca przestępstw powiązane ze św. Benedyktem, teoria wiecznej odnowy i autokanibalizmu oraz powracająca jak wyrzut sumienia ukraińska tragedia Wielkiego Głodu.

Teresa próbowała podnieść się z krzesła, ale nie była w stanie utrzymać się na nogach i upadła. Z trudem podniosła się na kolana i zaczęła się czołgać w stronę, gdzie jak była przekonana, stał mężczyzna. Uporczywie wpatrywała się w swoje ręce, które przesuwiała powoli po podłodze, starając się nie stracić równowagi. Nagle zauważyła coś dziwnego na wierzchu lewej dłoni. Żyłki bardzo nabrzmiały, stały się mocno fioletowe i pulsowały. Levy czuła, jak zaczyna ją mrowić całe ciało. Z trudem położyła się na prawym boku i ponownie podniosła lewą rękę przed oczy. Obróciła w lewo i prawo. Dłoń pulsowała coraz mocniej. Z żył zaczęły wychodzić maleńkie robaczki. Kobieta starała się im przyjrzeć, ale jej wzrok stał się mętny i widziała już wszystko za mgłą. Śwędzenie stało się nie do wytrzymania: pajęczki zaczęły rozchodzić się po całym jej ciele, a Teresa nie mogła ich strząsnąć. Podniosła powoli obie ręce do ust i zaczęła je kąsać, powoli i konsekwentnie żuła własną skórę, czując chwilową ulgę. Ale gdy tylko przestawała czuć pieczenie w jednym miejscu, natychmiast zaczynała je odczuwać w innym. Było coraz ciemniej. Zarysy mebli i padające przez okno światło latarni rozplynęły się w różnobarwne plamy. Fioletowe, czerwone, żółte.



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



j·labs



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

<https://akademicka.pl>